Ner 33. Kraków, 19go Sierpnia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Muzyka i Wychowanie.

Przez Nikostoma.

(Zobacz Nr. 32).

II.

Kiedy na gruzach starożytnego świata powstawał nowy porządek rzeczy, i wysunęły się różnorodne na wpółdzikie jeszcze tłumy germańskie z odwiecznych lasów, i jęły się zagospodarowywać w nowych siedzicach, kościół chrzesciański objąwszy je pod swoję opiekę zaczął zajmować się ich wychowywaniem. Był to jedyny ówczesny mentor i pedagog małoletniej ówczesnej Europy. A w wychowaniu tem obok wzniosłych zasad miłości Boga i bliźniego, mających stanowić podwalinę nowego bytu, zaczął przemawiać do owych dusz i serc nierozwiniętych sposobem przystępniejszym, zaczął wdrażać wzniosłe prawdy w uspione jeszcze umysły zapomocą śpiewu kościelnego. I nie jedna dusza zimna i głucha na wymowne nawet słowa kaznodziejskie, roztapiała się na poważny odgłos owych prostych a tak wzniosłych hymnów kościelnych, i korzyła się przed tą nieznaną istotą, której pomimo nauk odbieranych pojąć nie zdolała, a przeczuwać poczęła w melodyi poruszającej najgłębsze głębie duszy. Śpiew zatem kościelny był i jest niezmiernie ważnym czynnikiem w wychowaniu ludzkości chrześciańskiej, ważnym w wychowaniu pojedynczych narodów, a tem samem i w wychowaniu każdej jednostki ludzkiej. Przywołajmy sobie do pamięci przeszłość naszę dziejową, a ztamtąd brzmi tak że hymn wzniosły, nasz pierwszy hymn religijno-narodowy, który był pierwszym silniejszym wyrazem rozbudzonego religijnego uczucia; hymn, przy którego odgłosie wychowywały się wiekowe warstwy narodu, przy którego melodyi wzrastała i wzmagała się Polska chrześciańska, i budował się ten gmach wspaniały, który tyle wieków stał na chwałę bożą na widowni dziejowej. Jakich tam innych pieśni słuchały owe stare praojce nasze w pierwszych czasach rozwijającej się Polski naszej, dokładnie nie wiemy. Zapewne słuchały i nuciły te same spiewy, które spiewano po świątyniach innych narodów chrześciańskich; znaczną przynajmniej część tychże wszystkie dostały ze wspólnego źródła, z którego im trysnęło światło wiary. Ale nie o to nam tu chodzi; bo to pewna i wszyscy to wiedzą, którzy choćby początki znali dziejów własnych, że ową pieśnią, przy której odgłosie praojcowie nasi ciągnęli na boje, poczynali swe rady i każdą prawie publiczną sprawę, był hymn św. Wojciecha, ów poważny hymn: *Boga rodzica dziewica Bogiem sławiona Marya!* Brzmiała ta pieśń niezawodnie, również jak wiele innych i po chatach możnych i ubogich, a zwyczaj ten spiewania po domach pieśni nabożnych utrzymywał się u nas do niedawna, a nawet tu i owdzie jeszcze i dziś się utrzymuje, ale niestety tylko w niskich i biednych chatach wiejskich, po małych miasteczkach lub wreszcie na folwareczkach dalekiej od świata zaściankowej szlachty. Z dworów możniejszych wyparła je oświata francuska, a z nią i pogarda dziecinnej wiary i ojczystych obyczajów i zwyczajów, które za przesądy poczytała; z kółek rodzinnych tak zwanej inteligencyi wyparł go zwyczaj obcy, który po kawiarniach, kasynach, i resursach pozapalał nowe ogniska na zielonych stolikach dla rodzin preferansowych i tarokowych; a wreszcie w chatach mieszczańskich po miastach większych zapanowała cywilizacya niemiecka, a za nią w ślad przeciągające się w noc późną życie karczemne, knajpowe. W wielkim dworze pomiędzy panem a sługą wielki dziś przedział; nie klękną więc wspólnie przed tym samym obrazem; ba, może obok arcydzieł malarskich nowoczesnych nie znalazłbyś obrazu religijnego; a chociaż jest może dzieło nawet wielkiego mistrza za drogie kupione pieniądze, to tylko dla ozdoby ścian salonu jako znakomite i rzadkie *płótno*, ale nie jako obraz święty, przed którym klękał niegdyś i korzył się pan domu z rodziną i domownikami swymi: Dziś to *wyszło już z mody;* między panem a domownikiem, wielki dziś przedział, a ogniwa, któreby ich ze sobą i Bogiem połączyć mogło, księdza kapelana nie ma w domu bo stał się niepotrzebnym, a jego miejsce zajął rudy Anglik trener, tłusty niemiec piwowar, gadatliwy francuz mistrz dworu i cała czereda innych darmozjadów. Były niegdyś po dworach wielkich kaplice; dziś ich nie masz, miejsca ich zajęły buduary i fajczarnie! — A w kamienicy mieszczańskiej głowa rodziny za domem gdzieś w karczmie przy kuflu, a czeladź lub domownicy bez dozoru; a dzieci nie doczekawszy się ojca, bo dopiero w późną noc tłucze się do domu, zasnęły bez wspólnej pieśni i modlitwy, może zaledwie matki ręką przeżegnane. Znikł więc zwyczaj wspólnej modlitwy, wspólnych pieśni nabożnych. A wielka to strata w życiu naszem moralnem. Spiewy te niegdyś od dzieciństwa wpajały się w młodziutką duszę, i brzmiały w niej aż do grobowej deski; a z niemi i głos poważny ojca i słodki matki dobrej, jako przestroga i opieka w każdej dobie życia młodocianego, a w wieku późniejszym jako nić wiążąca pokolenie z pokoleniem; jako przypomnienie tego ciepłego i patryarchalnego życia rodzin naszych dawnych. Spiew taki wspólny uczył dziecko czuć się w jakiejś całości, w związku z tymi wszystkimi, z którymi razem klęczało przed obrazem świętym; widziało się z nimi zrównane i w najuroczystszej chwili zespolone. A bardzo to ważna rzecz pod względem moral-

nym; bo naówczas więcej było wspólnej miłości, więcej poszanowania bliźnich, więcej poświęcenia za drugich, bo to wszystko w owej wspólnej modlitwie bądź wzięło początek, bądź rozwijało się szybciej głębokie zapuszczając korzenie. Sługa, który codziennie widział przed sobą klęczącego pana i panią a obok nich wieniec dziatek, łącząc swój głos z ich głosem do niebios zasyłanym w uroczystych takich chwilach przywiązywał się coraz bardziej do domu, któremu służył, a obie strony zawierały jakby ślub wieczysty, że się nieopuszczą aż do śmierci. I ztąd płynęła owa wierność, owe przywiązanie zobopólne, owa opieka nad sierotami sługi lub domownika; ztąd te węzły, które tak silnie związywały ze sobą pojedyncze warstwy społeczeństwa; ta nasza patryarchalność, której dziś nawet dobrze nie pojmują. Albowiem nie jurgielty, nie pieniądze przywiązywały jednych do drugich, jeno cnoty i węzły duchowe. Wszak dziś płacą się nowomodne sługi daleko drożej, a przecież dawnego nie masz stosunku, a to dla braku podstawy silniejszej, tej spójni duchowej, którą między innemi utwierdzał i wzmacnił zwyczaj, o którym w niniejszym wspominamy urywku. Ale wracamy do rzeczy. Dziś zwyczaj ten prawie zaginął; spiew kościelny bardzo często zaniedbany; po miastach zastąpiły go produkcye muzykalne; gdzie niegdzie ogłaszają nawet gazetami, co w którym kościele wykonywać będą; idzie się więc do świątyni pańskiej nie z pobożności, ale jakby na koncert jaki do teatru na lep afisza. A jakaż to do tego muzyka? Rzadko nawet zachowa charakter kościelny; często są to melodye świeckie z oper powybierane, i każą ci się modlić i ducha wznosić na skrzydłach melodyi do pana Zastępów, kiedy arya, którą właśnie słyszysz, przypomina ci teatr a w nim jaką primadonnę w baniastej krynolinie, i cały szereg łączących z tem przypomnieniem obrazów do pobożności wcale nie nastrajających. Po kościołach, wiejskich spiew się utrzymuje ale w znacznej części w zupełnym stanie natury. Należałoby go trochę popielęgnować, aby był prostym i naturalnym, ale nie raził uszu nawykłych do jakiej takiej harmonii. Ale zapyta kto może: czegóż chcesz więc, pisząc o muzyce i wychowaniu? Czy chcesz wszystkich kształcić na organistów? Broń Boże! wiem że przy teraźniejszych ciężkich czasach chude fary. Chciałem tylko wykazać, jakto dawniejszy zwyczaj wspólnych spiewów nabożnych po domach ojców naszych, który nie jeden z nas jeszcze zapamiętał, przyczyniał się do wypielęgnowania cnót dziś coraz rzadszych. A *na pielęgnowaniu cnót polega przedewszystkiem wychowanie prawdziwe,* wychowanie do którego my szczególniej dążyć powinniśmy. Wspominając o tem chciałem również przypomnieć czytelniczkom, z których nie jedna jest panią domu, czyby ten piękny zwyczaj nie dał się odnowić po dworkach szlacheckich. Izba jadalna dostarczy miejsca; wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i Chrystusa ukrzyżowanego łatwo dziś nabyć za tanie pieniądze; ks. proboszcza poradzić się o śpiewnik; organista niech napisze nóty; jaki taki klawicymbał jest w domu; można sobie poprzód melodyą wybrzdąkać, jeśliby się zwykłych pieśni jeszcze nie umiało; a powoli złożyłby się chór, który chociażby raził uczonych kompozytorów, ale panu Bogu byłby przyjemny, a dla naszego doczesnego i wiecznego dobra korzyści nieobliczonych. Na wsi zrobić to łatwiej, aniżeli w mieście, gdzie wynająwszy mieszkanie masz na około sąsiadów różnego języka, pochodzenia, wiary i niewiary, i różnego a często dziwnego nabożeństwa. Zacząłbyś nucić pieśń pobożną, a tu ci z jednej strony odpowie nuta z jakiego nie bardzo nabożnego kupletu, a z drugiej gwizd marsza granego na ostatnim przeglądzie przy brzęku szarpantyny i w towarzyszeniu wyjącego pudla twojego sąsiada.

Ale! Kto z nas zna dziś melodyą hymnu Boga rodzicy? Stare pergaminy butwieją po lamusach, portrety praojców walają się po strychach lub przedpokojach, tradycye o przodkach mniej więcej przebrzmiały, i pieśń wielka dziejowa także przebrzmiała! Kto dziś z warstw wyższych, a nawet z tak zwanej inteligencyi umie jeszcze spiewać kolendy? Czy na samą wzmiankę o nich nie przypominacie sobie lat swoich dziecinnych w domu rodzicielskim? a wasze dzieci czy będą miały pocem przypominać sobie domy wasze, a w nich i was samych?!

O KOBIETACH.

(Rozprawa przez Kobietę).

(Ciąg dalszy).

IV.

Silna, zdrowa kobieta, jakiegożby nieprzedstawiała charakteru, gdyby troskliwsze umysłowe odebrała wychowanie? człowiek tylko bowiem czerstwych sił i zupełnego zdania, każdy by najtrudniejszy pomysł, z łatwością do skutku przyprowadzić zdolny, gdy tymczasem rozdrażnionych nerwów, kapituluje przed lada jakim nieprzyjacielem nie mając odwagi oprzeć mu się ani na chwilę. Bardzo wiele hygiena udziela nam w tej mierze zbawiennych rad, ale tych kobiety w ogóle nieprzyjmują, z przyczyny, ażeby ich płeć udelikatniona aż do brzydkiej często przejżrytości niezgrabiała pod wpływem robót najcięższych, powtóre, iż uważają za niepotrzebne zniżać się do prac pospolitym kobietom właściwych, gdy je otacza grono sług, powolnych wszelkim rozkazom. — Nie były to wieki bajeczne, w których kobiety dostojnych stanów, wykonywały prace mężczyznom wspólne. — Piękna Rebeka, mająca być żoną książęcia izraelskiego ludu, sama ciągła wiadrem wodę dla licznej swoich rodziców trzody— bo przy tem zatrudnieniu zastał ją poseł od Abrahama, którego muły napoiła, a za to została prababką milionowych pokoleń. Bliższe wzory pracy mamy w cesarzowych rzymskich, które własnoręcznie przędły i tkały suknie dla swych małżonków, jakoby tyle podbitych krajów niezdolne były dostarczyć im odzienia, a tysiące niewolników wmgnieniu oka nie uskuteczniały tej pracy! W prawdzie choć majętniejsze kobiety, nie wypuściły dotąd z rąk drutów i igły, ale też prawie na nich tylko ograniczyły myśl i umiejętność, ogrodnictwo zaś, hodowania bydła i drobiu domowego, uprawa roli choćby w teoryi, niezwraca bynajmniej ich uwagi, jako przechodząca niby sferę czynności kobiet. — Przypuśćmy iż te i t. p. przedmioty lubo nieobrabiane przez kobiety, obejdą się bez ich wpływu, ale kobiety bez nich się nieobejdą, ponieważ widzimy do jakiego stopnia chorobliwości ciała i umysłu doprowadza życie, oddalone od natury, jaki przesyt, codzień wynajdywanych zabaw, obmierża istnienie, lub pociąga za sobą szał rozstrojonego rozumu, gdzie tenże rozum gubiąc się w przeważającej zmysłowości, niemając wyższej żadnej potęgi, w dziwactwach objawia panowanie, czyniąc człowieka nie już istotą sobie rozumowi powolną, ale potworem urojeń, chimer, hołdującym szalonej ślepocie bo nawet nie instynktowi. — Przyzna każdy, że

nieprzesadzam w omowie, kto zdrowym rozsądkiem przypatrzy się sposobowi życia dam dobrego tonu, a już nietylko im samym, ale choćby tym kobietom, na których utrzymanie mężowie pracują.

Kobieta ulalkowana co godzinę inaczej, resztę czasu od tualety usiłuje strawić na przyjemnem, jak mówią, zabawieniu się. — Dzień wczorajszy, rozważa, dosyć był nudny, musiałam nie chętnie odbywać wizyty, tam spodziewałam się zastać te a te osoby, na nieszczęście nienatrafiłam na nie, indziej wcale nie było co robić, uciekałam jak wiatr, w domu znudziłam się nieproszonemi gośćmi; ale dziś odwetuję — pokażę się na koncercie, w teatrze, na balu; nieszczęście, że poczuwam niestrawność i ból głowy; jakkolwiekbądź muszę być wszędzie, w domu śmiertelniebym się znudziła.— Otóż życie przesyte i niesyte, — a takie jest codzień podobne bagnu, które dla braku dobrze skierowanego ruchu, zawsze nieczyste i nie pożyteczne. — Zaraza klas wyższych stanów kobiet tak się rozszerzyła i wzmogła, szczególniej w miastach, że w nich wszystkie w ogóle kobiety, mają za chlubę szczepić w sobie jej jad zgubny, udelikatniać się nieczynnością, powabnieć głupstwem rzetelnem czy udanem, a tryumfować co godzina innemi gatunkami, dającemi świadectwo próżni ich serc i głów. Jeżeli im przychodzi zastanowić się nad osobą płci swojej, pierwszy zarzut, który jej czynią z uśmiechem politowania i szyderstwa jest ten, iż wcale nie była gustownie ubraną, nie do miejsca, czasu, lub mody, chociażby ta rówienniczka miała do tego powód najrozumniejszy. Sąd kobiet w powszechności z małym wyjątkiem o ważnych przedmiotach jest całkiem niedołężny albo dziecinny, a jeżeli czasem odważą się wyrokować o wartości dzieł piśmiennych, malarstwie, muzyce, rzeźbie, żadna nie czyni tego z własnego znawstwa, lub natchnionege uczucia, ale idzie za zdaniem mężczyzny.

(c. d. n.).

Modlitwa.

(z Jocelina Lamartina).

Często, kiedy rosnący coraz cień wieczoru
Ściele się u podnoża filarów klasztoru;
Gdy pozdrowiwszy Maryą, skromnie posileni
Posiadali Lewici w ławkach rozproszeni;
I każdy z nich na cichem łonie przyjaciela,
Wylewa ciężar dziennych trosków i wesela;
Ja sam, którego serce tem się niepochlubi,
Bo zbyt pełne goryczy, podziału nie lubi —
Wymykam się i chciwy tego powiernika,
Co miłością bez granic, w głębią rany wnika,
Wsuwam się do świątyni, by na jego łono
Wylać wśród nocnych cieni — duszę utęsknioną.

Ossyanie, Ossyanie, kiedy w snach młodości
Zwiedzałem Inistoru mgliste wysokości;
Gdy z pieśnią twoją w sercu i lutnią na ręku
Podsłuchiwałem smętnych duchów twoich jęku
W przeciągłym szumie wiatru, który przez szczeliny
Wyrywał się z gałęzi pożółkłej jodliny —
Gdy czoło tłukły włosy pędem wichru gnane,
Gdy strumienie u wiecznych lodownic wezbrane
Nad rozwartą przepaścią, ryczące z przerażenia,
Gniewną rosą ku niebu pryszczą od kamienia —
Kiedy pnie wzniosłych sosien trzęsły się jak trzciny,
Z wierzchołków swoich śniegu zsypując lawiny,
I kiedy mgła zmarznięta kłębując się w górze,
Mnie jak syna Morwena ubierała w burzę —
I przez tę mgłę piorunem rozdartą na poły,
Ujrzałem niespodzianie słońca krąg wesoły,
Które promieniem mokrym walcząc w pośród cieni
Oświeciło mi przepaść, w bezdennej przestrzeni —
Zmysły me podniesione powietrza przezroczą,
I bliskich stropów górnych nocą tak uroczą —
I szumiących gałęzi zewsząd głuchą wrzawą;
I śnieżnej zawieruchy bijącą kurzawą,
Nastrajając mą duszę do potęgi szczytu —
Grały w niej harmonią boskiego zachwytu,
I krew cisła boleśnie w serca okolicy,
I łzy padały gradem niebieskiej krynicy,
I nadstawiałem uszu, wyciągałem ręce,
Stąpając jako mara w obłąkania męce —
I zdało mi się nieraz, że w tej mglistej chmurze
Uchwycę cień Jehowy płynący przez burzę,
I zdało mi się słyszeć grzmoty jego głosu,
Które posłuszne echa niosły do chaosu —
Miłość i radość czerpiąc każdą porą w ciało,
By cię lepiej zagłębić, zlać z naturą całą —
Chciałem mieć inną duszę — inny język stworzyć,
By te wrażenia godnie uczuć i wyłożyć.

Oto dla śmiertelnika chwile błogie, święte,
Udzielane przez Boga — lecz nie przeczerpnięte
Błyskawice płonące szczęściem i światłością,
Które to życie ziemskie mieszają z wiecznością —
Dusza nasza tak się ich karmi wspomnieniami,
Jako się snu słodkiego pieści marzeniami,
A kto ich raz skosztował, ten uzna w pokorze
Że na ziemi z wieczności źródła pić już może.

Tak, gdy smętnej świątyni progi przestąpiłem,
I cały się w tej drugiej nocy zatopiłem,
I stanęły pomiędzy mną a tłumną marą
Te mury przesiąknięte wiekami i wiarą —
Gdy w tym głuchym i świętym przybytku milczenia
Błądziłem wśród pustyni martwego kamienia,
W tym obrazie mieszkania Boga malowniczem,
Gdzie wszystko tak głębokiem, wiecznem—tajemniczem;
Gdy słońce z górnych sklepień zaszłe bez ochyby,
Ostatniem pożegnaniem malowało szyby,
A w głębi Sanctorium światełko błyszczące
Migotało jak oko na ten świat patrzące; —
Gdy w tem zabrzmi na wieży dźwięk miły i drżący,
A ja czołem oparty o słup go wtórzący,

Uczułem, jak drgał cały, a w tem poruszeniu
Jakoby drganie klucza w niebieskiem sklepieniu; —
Gdy na ten znak od szczytu sklepień aż do ziemi
Z murami i wieżami, i z grobami swemi,
Jak istota żyjąca — katedra wspaniała,
Drżeniem i uniesieniem w głos odpowiedziała.
I gdy podniosłszy z ziemi oczy me i ducha,
Uczułem, że w tej próżni jest ktoś, co mnie słucha,
Że przyjaciel tajemnie rozlany w tej nawie
Pociąga mię ku sobie — przemawia łaskawie —
Udziela mi się, i w tem serdecznem milczeniu
Przytula mię do łona, chroniąc w skrzydeł cieniu;
Natenczas na kolana, padając na ziemię,
Połami mego płaszcza zakrywając ciemię,
Jak człowiek burzą duszy nagle zaskoczony,
Tysiącami ognistych błyskawic olśniony,
Szukam na łonie Pana mojego ukrycia,
W cichości chwytam słowa — śledzę serca bicia...

Próżnym jest opis uczuć w tym błogości stanie,
Niezdolna ludzka mowa — niema w niej słów na nie,
Dusza doświadcza niby czegoś co doznaje,
Oko ludzkie nadmorskie odwiedzając kraje,
Gdy piętrzące się falki — spychające w biegu,
Łyskające od słońca — chce policzyć z brzegu,
A wreszcie zaślepione blaskiem wód i piany,
Widzi tylko ruch wieczny światło i bałwany;
Lub, czego doświadczamy stojąc przy strumieniu,
Co strącony z gór szczytu — spada po kamieniu,
A ucho chce wsród tego huku ogromnego
Rozróżnić gwałtem spadek jeden od drugiego;
Jak zamiast postępnego uderzenia fali
Słyszy tylko huk ciągły, i echo w oddali.

Potem ten hałas cichnie, dusza snu pragnąca
Płynie bez skrzydeł, po tej przestrzeni bez końca —
Nie prężąc się, nie myśląc, choć w polocie wolna —
Lecz martwa, nieruchoma — kołysze się zwolna
Z tem uczuciem — którego doświadcza marzący,
Że go wichru wściekłego porwał wir gorący,
Że na moment na skrzydłach przez niego podanych
Szybuje w pośród niebios gwiazdami zasianych,
I że tam zapomniawszy o tym ziemskim globie,
Ogrzewasz się przy słomach zbliżonych ku tobie...

Tak noc próżno godzinę bije za godziną,
A kiedy już przychodzą zamykać świątynią,
Gdy na zawiasach zgrzytły ciężkie drzwi bronzowe,
Że się aż poruszyły sklepienia grobowe,
Oddalam się powoli, a zimna prawica
Niebiańskie rosy krople ściera z mego lica.

F. N. E.

Panna Natalia.

(Ciąg dalszy).

W miesiąc po tym zwyż opisanem zdarzeniu, widoczna zmiana zaszła w gospodarstwie od lat kilku zupełnie zaniedbanem. Nie będziemy szczegółowo wyłuszczać każdej rzeczy, dość gdy powiemy, że nie sprzedaną za bezcen pszenicę i inne zboże, ciągle młócono w stodołach. Spiżarnią napełniła p. Wilska, szafarka, wybornemi mąkami, krupami wszelakiemi, masłem, serem, suszem owocowym i t. p. rzeczami, pieniądze zaś na niezbędne wydatki, dawał tymczasowo pan Kajetan pożyczanym sposobem. — Przyjeżdżał on sam codzień prawie do Zygmunta, dla dawania mu potrzebnych instrukcyj względem zimowego zasiewu. Żadna z pań pałacowych niewidziała go ni razu, jak na swym ulubionym siwku równo ze wschodem słońca, w słomianym wiejskiej roboty kapeluszu, objeżdżał z synowcem pola, zaglądał do stajen, obory, kierując wszystkiem, co tylko wymagało najspieszniejszej poprawy. Natalcia jedna pomagając p. Wilskiej w ciężkich już na jej wiek podeszły zatrudnieniach, wstając codziennie przed wschodem słoneczka widziała zawsze tego czcigodnego człowieka, odbierała od niego na dzień dobry pozdrowienia, równie jak od Zygmunta, które od tego ostatniego odznaczały się pewną głęboką czcią. Ta sama ciemna perkalikowa sukienka, lub na przemian płócienkowa, czarnym obciśnięta paskiem, kapelusik słomkowy od słońca, na uczesanej już głowie, biały krótki fartuszek, oto codzienny ubiór tej cichej i skromnej panienki, który przy okoliczności na białą sukienkę zmieniała jako na strój najulubieńszy.

Upłynął miesiąc w Niedbalówce pod względem gospodarskim szczęśliwy, bo już i te stepowe ugory, pokrajane pługiem w skiby, patrzyły weselej czując pracowitą rękę człowieka, która je poruszyła do nowego żacia; i owe budynki za pałacem walące się, i smutnie przez porozbijane okna wyglądające, jak człowiek z pokaleczoną twarzą, przyjemny sprawiały widok po naprawieniu, otynkowaniu i obieleniu; chory tylko umysł hrabiny niewidział, nieuznawał swego dobra, owszem zdawała się szydzić swemu opiekunowi, dobroczyńcy. Całe dnie, ta skrzywionych wyobrażeń kobieta, poddając się melancholii, przesiedziała smutna w swoim sypialnym pokoju, niedozwalając oprócz p. Flory, nikomu, ani Zofii, ani Natalii nawet przychodzić do siebie; a ponieważ jej zdrowie nieulegało zmianie, gdyż miała zawsze dobry apetyt równie jak sen, p. Kajetan wiedzący o tych jej rekolekcyach pokutniczych, za dawne grzechy, jak ten jej stan nazywał — zalecił Zofii i Natalci, aby ją zostawiły samej sobie do czasu, póki nie wyszumi po błędnym zagranicznym szale. Tymczasem Zofia pociągnięta dobrocią Natalci, pędzona zarazem tęsknotą samotności, stała się jej nieodstępną towarzyszką w chwilach wolnych od jej zajęć gospodarskich. Jednakże potrzebowała jej tylko dla zabawy i nie naśladowała jej w niczem. Była ona zbyt zarozumiałą, kładła wysoko swoją edukacyą, o stopniu urodzenia, a nawet piękności, która miała ją wkrótce umieścić na łonie bogactw, zbytków, bez pracy i troski; czego Natalia spodziewać się nie mogła, nie będąc ani tak piękną, ani tak edukowaną, ani w żądaniach swoich tak skierowaną.

Natalia czytała w sercu swej siostry jej myśl i wszystkie nadzieje, a nawet swe poniżenie; lecz prawdziwa pokora niedozwalała jej sprzecznych z siostrzynemi twierdzeń, owszem oddawała jej pewien hołd, będąc

na każde wezwanie Zofii najpowolniejszą młodszą siostrą. Ta szczera dobroć Natalci i jej uległość, zrobiły Zofię względem niej coraz dumniejszą, już nie łagodnym słowem siostry ale pani, zdała się jej rozkazywać. W najmniejszej rzeczy nie dozwoliła Natalii mieć własnego zdania, lecz narzucała jej swoje, mówiąc: tak jest a nie inaczej, przecież mam wyższą edukacyę i znam więcej świata, niżli ty, która nigdzie nie byłaś. — Zwykle na takie niezbyte argumenta Zofii, Natalcia nic nieodpowiadała, bo i tu zdawało się skromnej dziewczynie, że tamta może ma słuszność. Tak poniżona czasami, udawała się do modlitwy, a ta zawsze ją pokrzepiała do znoszenia cierpliwie tych małych przykrości, jak je uczywała. Nie oczekiwała ona w przyszłości swej rozkosz, o których marzyła Zofia, lecz hartowała się na trudy i cierpienia, aby, gdy te przyjdą, zastały ją do zapasów z niemi przygotowaną: że ten swój rozum, że tę ciągłą nad sobą pracę winna była wpojonym w nią naukom p. Lucyana K., który najgruntowniejsze w tym celu zdania spisał i dał jej do użytku całego życia. Nie zgłosił się był do niej jeszcze ten zacny człowiek, a już trzy miesiące upłynęły po jej od państwa Janów przyjeździe. Sądziła ona, że jego mądrość zna dobrze, iż jej nic takiego niezagraża, w czemby jego pomocy potrzebowała. Czekała więc cierpliwie jakiej o nim wiadomości, czy zdrów, czy tak szczęśliwy jak wprzódy? a gdyby on pierwej nie zgłosił się do niej, umyśliła za jakiś jeszcze czas napisać do niego. Potrzebowała ona w istocie jego wsparcia moralnego najprzód przeciw Zofii, aby ją zjednać sobie w węzeł serdeczny, siostrzański, iżby więcej miłości a mniej upokorzeń od niej odbierać mogła; po drugie, iż miała mu do zwierzenia uczucie nowe, które jak promyk słońca przez szczelinę zamkniętej okiennicy, wciska się do ciemnego pokoju. Jak ten budzi swem światłem uspionego tam człowieka, tak do jej młodej duszyczki jakieś miłe światełko nieznane, przedarło się przez piękne oczy młodzieńca. Z tem światełkiem było jej wprawdzie rozkosznie, lecz jako obcego sobie, zlękła go się na razie, nieumiejąc sobie wytłomaczyć uczucia błogiego, do którego mieszała się trwoga; młodzieńcem, o którym mowa był Zygmunt. Jakim sposobem ten magnetyzm uczuć Zygmunta doszedł serca tej skromnej panienki? trudno powiedzieć. Pomimo trzech miesięcznego pobytu jego w Niedbalówce, niezamienił on jednego słowa z Natalią, przychodząc codziennie do wspólnego stołu i wieczorami na herbatę, nie rozrzutny w mowie, odpowiadał zwykle p. Florze, gdy go czem zagadła, a kilka ledwo razy przemówił do Zofii— i to dość zaambarasowany. I cóż więc dawało najmniejszy powód Natalci ulegania słodkiemu uczuciu i trwodze? Oto zapewne te codzienne zejścia się w pewnych miejscach folwarku, lub na rannej przechadzce w polu, gdzie młode dziewczę wybiegać lubiło, miłując te pola, łąki i lasy, które w połowie z siostrą miały być jej własnością a po których przelatujący świeży wietrzyk kąpał ją w swej orzeźwiającej woni. Te zejścia z początku i grzeczne ukłony miała Natalia za przypadkowe, lecz gdy ponawiały się na różnych miejscach, z dniem każdym i o różnej porze, dziewczę coś niezwykłego pojęło, ulękło się i zachwiało. Przestała ona swych wycieczek, lecz po kilku dniach oczy młodzieńca zdały się jej czynić wymówkę, a nawet mówił Zygmunt do p. Flory.

— Dla czego nieużywa pięknych jesiennych chwil, nie chodzi w pole? że niedługo słoty nie pozwolą przechadzki.

— Ja mało chodzę, tylko wyjeżdżam,— odrzekła zdziwiona p. Flora; a Natalcia poczerwieniała mocno, co nieuszło uwagi Zygmunta. Te drobne zdarzenia były mową dwojga młodych serc, a może... prostemi drobnemi zdarzeniami bez żadnego znaczenia. Może to czysta fantazya dziewczęcia, jednakże tej się ulękła, a pragnąc uspokoić trudzącą ją myśl, nie mając nikogo, komuby się zwierzyć mogła, wspomniała sobie na dar p. Lucyana ową książeczkę z spisanemi zdaniami, i dobywszy jej z szafki, w której miała w porządku wszystkie przywiezione książki, otworzyła ją na los, a pomyśliwszy zapytanie, powiodła po wierszach kartki paluszkiem i zatrzymała go nagle, postanawiając, że to zdanie, a nie inne będzie prawdziwą dla niej odpowiedzią. Tak często się bawiała, i dziś, na pytanie co czynić miała względem siostry, było zdanie następne: „staraj się wyrównać piękności pięknych“. Zaś co do Zygmunta, wodząc nieśmiale palcem, stanęła na zdaniu: „nie daj się unosić skrzydłom fantazyi, lecz postępuj za zdrową myślą rozsądku“. Rozumiejąc dobrze oba te zdania, rozrzewniła się nad niemi, jak równie nad pamięcią tego, który je dla niej wypisał. Uklękła przeto w swym pokoiku i chwilę gorąco się modliła. Tak ją zastała Zofia, wchodząc do niej i rzekła z zdziwieniem:

— Ty zawsze się modlisz, pewno sposobisz się na zakonnicę.

— O nie zawsze, lubo to częściej czynić powinnam, będąc zbyt słabem stworzeniem.

— Więc ty o wszystko się modlisz?

— O wszystko droga Zosiu! bo czuję, że nic niemogę sama dobrego zrobić.

— Czy mogę wiedzieć o co dziś się modliłaś?

— Powiem ci szczerze. — Oto widzisz tę książeczkę, z niej wyciągłam na los zdanie patrzaj: staraj się wyrównać piękności pięknych.

— Nierozumiem, jakby tego dokazać można — rzekła z ubolewaniem Zofia, patrząc wyraziście na śniadą i nie bardzo kształtną twarz Natalii — to zabawne zdanie.

— Właśnie modliłam się o piękność, którą najbrzydsza istota ludzka osięgnąć może, zwłaszcza tak potrzebna kobiecie, nazywaną płcią piękną, od Boga samego na piękną przeznaczoną.

Zofia z tryumfującym wzrokiem spojrzała w wiszące lustro.

— Czy wiesz Zosiu droga dla czego nazywają kobiety płcią piękną, gdy często mężczyzni piękniejszymi są od nas: oto że piękność duchowa, delikatność mowy, ruchów, i uczuć należy nam prawie wyłącznie, i że z porządku przeznaczenia do wszystkiego co piękne, moralne, stworzone jesteśmy; ja o tę piękność mam prosić Boga nieprzestannie.—Teraz dodała po francusku co Zofia na wstępie jej przyjazdu wyrzekła do matki: szkoda że Natalcia tak jest brzydką jak wprzódy. Wszakżeś to sama mówiła droga Zosiu.

— Przebacz mi, przebacz kochana Natalciu— zawołała Zofia, odtąd starać się będę uczyć się, czego ty się uczysz, modlić się o to będę, o co ty się modlisz, boś najlepszą w świecie istotą i więcej coś wiesz odemnie, a co zupełnie trafia do mego przekonania.

— Obiedwie razem uczyć się będziemy — rzekła Natalcia — niemam ja jeszcze tyle doświadczenia, abym ci przewodniczyła, ale tu — wskazując na szafkę swoją z książkami, tu spoczywają zaczarowane duchy wyższych niegdyś ludzi, otwarciem książki zdejmiemy z nich zaklęcie, a oni przemówią do nas językiem swej miłości i prawdy.

— Doskonale! czytywać będziemy razem —rzekła Zofia Tu Natalcia pokazała jej spis wszystkich swych książek, począwszy od dzieł Jana Kochanowskiego, a skończywszy na Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, Szaj-

może i innych znamienitych pisarzach i poetach. Oprócz tych szacownych dzieł, mówiła z zapałem Natalcia, poślemy na pocztę przedpłatę na lepsze zdrowej tendencyi czasowe pisma, abyśmy się obeznały z biegiem obecnej literatury, postępem myśli, dążnościami czasu. Pan Lucyan K. mawiał mi zawsze, że nieznać swojej rodzinnej literatury, swej historyi, jest haniebiącą nas ślepotą, gnuśnem niedbalstwem, należącem do śmiertelnych grzechów narodowych, za które dotąd nie dość jeszcze pokarani jesteśmy.

Obiedwie młode panienki przyszły do wzajemnego porozumienia się z sobą, i stanęły na stopie postępu wspólnej nauki.—Ułożyły one sobie rozkład zatrudnień dziennych, podzieliwszy go na godziny, a wykonania jego pilnie przestrzegały, zwłaszcza że były paniami swego czasu, gdyż matka i ciotka oddzieliły się od nich zupełnie, żyjąc wspomnieniami swych ulubionych podróży i pobytu za granicą. Okolica tameczna co do sąsiedztw, nie dostarczała wprawdzie żywiołu towarzyskiego, bo oprócz dwóch szlacheckich wiosek graniczących z Niedbalówką i Przemysłówką rozciągały się dobra jednego magnata, w których tylko rządcy folwarczni zamieszkiwali z innymi tych dóbr oficyalistami, a dziedzic z chorobą straszną nudów emigrował po całej kuli ziemskiej; nie znalazłszy na nią nigdzie lekarstwa, oprócz trwonienia czasu i pieniędzy wydobytych uciskiem pracowitych kmiotków i uciskiem kraju. Pani Hortenzya wiedziała dobrze gdzie mieszka, że okolica była pustą; bo dwie szlacheckie jedno-wioskowe rodziny, nie były i zerem dla niej, aby pomyślić mogła o zbliżeniu się do nich. Dlatego cierpiąc śmiertelnie na nudy, wyrzekała ustawicznie przed p. Florą na p. Kajetana, nazywając go dręczycielem swoim, okrutnikiem i tym podobne dając mu epiteta, że ją zadręczyć chce w tej bezludnej pustyni, w której ani jednego niema człowieka. Pomimo tych skarg i wyrzekań, p. Hortenzya pięknaiała, tyła, będąc zdrowszą nierównie niż w kąpielach i w Paryżu, bo powietrze klimatu, w którym się urodziła i wychowała, pokarm stósowny i spokój, wprowadziły ją w stan normalny życia, jaki każdemu przy tych warunkach służy najlepiej.

Już ponure dnie grudniowe a z niemi ołowiane obłoki i długie wieczory, zawitały smutnie do osamotnionego pałacu. Choroba hrabiny zdawała się być na przesileniu; bo już i do dziewcząt i do Zygmunta przy herbacie i obiedzie, przemawiała po troszce. Ucieszone tem córki i młodzieniec, zdobywali się na ożywiającą rozmowę. Panny myślały dalej, bo o zaznajomieniu się z sąsiedztwem szlacheckiem, witając w kościele państwa Plewińskich z córką dwunasto-letnią, i państwa Różańskich z dorosłym synem inżynierem skończonym, oczekującym nominacyi rządowej na posadę do dróg i mostów. To samo myślił i p. Kajetan, oświadczył więc Zygmuntowi, aby Tadeusza Różańskiego swego przyjaciela i szkolnego kolegę, wprowadził do domu hrabiny, a za nim i te dwie zacne rodziny, z któremi tak panny jak i matka miałyby przyjemne towarzystwo. Już Tadeusz jako mężczyzna wszedł pierwszy do salonu p. Hortenzyi, a p. Zofia i Flora znalazły go bardzo przyjemnym młodzieńcem, nawet ta druga myślała w duszy: szkoda że nie herbowy, bo maryasz ze mną lub Zosią mógłby być pewny. — Zresztą któż to wie, może jego drzewo genealogiczne wykaże ród świetny, równy naszemu rodowi. Poznanie się z rodzicami Tadeusza i państwem Plewińskim ułatwił sam p. Kajetan; urządziwszy w troje sanek przejażdżkę i zboczywszy niby niechcący do dworu państwa Różańskich, gdzie na jego uprzejmą prośbę i państwo Plewińscy znajdowali się. Była ta niespodzianka tak dla panien jak i dla hrabiny, tem większa, że obiedwie te rodziny były wykształcone, a dwór do którego przybyli, przedstawiał porządnych, zamożnych i z dobrym smakiem właścicieli. Nadto p. Hortenzya znalazła przyjemność w towarzystwie p. Plewińskiej, osoby młodej, edukowanej, a znającej Paryż, Rzym i Londyn na palcach, z powodu, że z rodzicami emigrantami po roku 1831 w tych miastach przebywała, i gdy ci na obcej ziemi przedwcześnie złożyli swe kości, ona z krewną swoją powróciła do kraju i wyszła za mąż za p. Plewińskiego w 20tym roku swego życia

Po bytności hrabiny, którą p. Kajetan wchodząc do dworu państwa Różańskich nazwał umyślną wizytą, nastały obydwóch tych rodzin odwiedziny w Niedbalówce, coraz więcej ożywione wspolnem poznaniem. Robiono wycieczki o kilka mil w okolice, bawiano się wieczorami w gry, a p. Kajetan korzystając z humoru hrabiny i codziennym będąc jej gościem, przekonał ją, że nie jest tak szorstkim jakim go sądziła, lecz naturalnym, bez przesadnych manier, dobrze ułożonym człowiekiem. Uspokojona nieco hrabina, ulżyła staraniom i myśli p. Kajetana o niej, lubo ten rozumny i doświadczony jej opiekun, niedowierzał chwilowemu jej ułożeniu się. Wiedział on dobrze, że namiętności ludzkie, równie jak choroby ciała powtarzają się, jeżli przeciw pierwszym nie walczymy ustawnie siłą moralną, a przeciw drugim szanowaniem swego zdrowia. Nieznał on innego lekarstwa dla niej, jak pozbawić ją na zawsze środka rządzenia samej sobą. A jako przedtem mądrze czyniono, że marnotrawcom odejmowano majątek a przydawano opiekuna, tak on zrobił prawnie mimo jej wiedzy, że przypadający majątek na Zofię i Natalcię po ich ojcach zabezpieczył, zostawiając p. Hortenzyi jej własny posag który wniosła, t. j. dwa folwarki wyniszczone z inwentarza, zaniedbane w uprawie gruntów, na jej wyłączny przychód, pod opieką pp. Różańskiego i Plewińskiego. Podstęp ten dla jej dobra i jej córek przedsięwzięty, tym sposobem zyskał jej własnoręczny podpis, że p. Kajetan przedstawiwszy w jej imieniu dobrowolną w tych interesach ugodę, kazał jej ją podpisać niby kontrakt sprzedaży pewnej części lasów na nieodzowne potrzeby. Wprawdzie mogła się zrzucić każdego czasu; protestując przeciw podejściu, lecz nim dowiedzieć się mogła, córki jej będą pełnoletnie; a zatem uprzedzii on tylko chwilę tego, co za lat kilka z konieczności nastąpić miało.

Wpośród zupełnej spokojności ze strony wierzycieli i dobrego bytu bez zbytków, Natalcia pragnąc coś więcej czynić nad to, co dotąd czyniła, umyśliła rozszerzyć swe szczupłe znajomości, ograniczające się jedynie na zwyż wymienionym sąsiedztwie. Mówiła ona pewnego dnia wiosennego do Zofii:

— Zejdźmy droga Zosiu z tych pysznych salonów naszych, odgradzających nas temi pięknemi kamiennemi galeryami i schodami od mieszkańców tam na dole w drewnianych chatach żyjących, zejdźmy przypatrzeć się temu najbliższemu sąsiedztwu naszemu, abyśmy wiedziały kto są oni, jakie mają potrzeby abyśmy, my od nich lub oni od nas, udzielając się wzajemnie, coś zaczerpnąć mogli.

— Co w tem dobra Natalciu, odmawiam ci służyć, bo to nam, ani im, na nic się nie przyda.

— Próbój raz pójść ze mną, a pewnie uczujesz potrzebę częstszego przebywania z niemi. Jeżeli oni nas niczem nie zajmą, oprócz swojej poczciwej prostoty i tego zdrowia ciała, co tak wydatne w ich czerstwych obliczach i niezmordowanej sile w pracy, to naszym obowiązkiem jest, zlewać się z niemi duchem, zyski-

wać ich szczerą przyjaźń i naszą wiedzę jaką mamy, dzielić się z niemi po sąsiedzku, po bratersku.

— Jedna jaskółka nie przynosi wiosny — odrzekła Zofia — ja niechce się wystawiać na propagatorkę oświaty lub braterstwa chłopów, bo wiem, że to dzieło nie jednej chwili, nie jednej osoby. Życzę ci szczęścia; to wyrzekłszy, odeszła.

Natalcia stała przez chwilę zbita, zgnębiona — na szczęście mając z sobą ową cudowną książeczkę, która ją w każdem przykrem zdarzeniu uspokajała i pocieszała, dobyła ją szybko z kieszonki białego fartuszka a otworzywszy ją, pierwszy wiersz który napotkała oczyma, był następujący: „Masz co dobrze czynić, czyń sam, nie oglądając się na nikogo, inaczej nie będziesz wolnym ale sługą cudzej woli i nic nigdy dobrego nie uczynisz.“ Uradowana dziewczyna pocałowała książeczkę, i jak młoda sarneczka podskoczyła z pagórka, opuszczając się wązką ścieżką ku wiosce, do najbliżej położonej chaty.

Dnia tego zwiedziła kilkanaście domów, lecz coraz stawała się smutniejszą, coraz więcej wątpiła. Ubóstwo, skargi żon na pijaków mężów, zamożniejszych skargi na częste zlodziejstwa, ogólna ciemnota, za nią idące niemoralność i próżnowanie, przekonały tę szlachetnie myślącą młodą panienkę o zupełnem opuszczeniu tych paręset ludzi, pomiędzy którymi tradycya nawet dobrych obyczajów i pracowitości sielskiej zatarła się ze wszystkiem. Przechodząc koło karczmy w środku wsi umieszczonej ujrzała ze zgrozą w dzień poprzedni pełno mężczyzn, niewiast—a nawet dzieci przybyłych z swemi rodzicami, — popitych, hałasujących i mówiących niedorzeczy.— Postacie tych ludzi wyglądały dziko w ubiorze brudnym, a koszule kobiet były zgrzebne, dziurawe. Spostrzegłszy ją przez otwarte okna, pozdejmowali wprawdzie kapelusze, witając ją grzecznie, gdyż ta cecha przyzwoitości nie zaginęła jeszcze w słowiańskim ludzie, pochodząca z ich dobrego i łagodnego w gruncie charakteru. Natalcia odkłoniła się grzecznie, a ośmielona mignęła uprzejmie na jednę z starszych kobiet, stojącą w progu karczmy, aby zbliżyła się ku niej.

— Czy odprawiacie wesele lub zaręczyny? zapytała młoda panienka.

— O nie paniuniu — odrzekła z ukłonem — to tak nasi chłopi wyszli na zabawkę, bo nie mają tak dalece co i robić w chałupie, a my też niewiasty za niemi.

— Nie mają co robić — smutnie powtórzyła Natalcia— to źle, gdzie niema co robić pożytecznie — tam trzeba czas zabijać próżnowaniem szkodliwym — a w Przemysłówce także w powszedni dzień ludzie w karczmie się bawią? zapytała.

— W Przemysłówce chłopi wszyscy bogacze — oni tam jak szlachcice się bawią. — Schodzą się do karczmy, bo tam duża stancya dwa razy większa jak u nas; pozasiadają na ławach po nieszporach w każdą niedzielę i święto; przyjdzie nauczyciel, przyjdzie wójt, i komu się podoba, jeden czyta a wszyscy słuchają. Potem młodzi dziewczęta i chłopcy bawią się w gry tam jakieś, starsi radzą o swych gospodarstwach a nie a nic gorzałki nie piją, tylko piwa po szklance, a kobiety kawę. My tam z niemi nie wdajemy się, bo to panowie, potem człowiek zawstydziłby się iść pomiędzy nich tak ubrany mizernie, bo chłopi wszystko od sukna granatowego, a kobiety pięknie w perkalach, muślinach i od materyj ciężkich gorsety noszą.

To tu u was musi być ziemia nieurodzajna, żeście tacy ubodzy?

— Gdzietam— filuternie patrząc na pannę — odpowie — taki zwyczaj zdawien dawna — my tam sobie oni sobie, ktoby tam patrzył na tych bogaczy.

— Tobyście się wstydzili być tam bogatemi jak oni?

— Taki zwyczaj powiadam panience — nasi chłopi z nich się wyśmiewają. Niemiała co więcej mówić Natalcia z tą kobietą, przeżegnawszy ją, udała się ku górze na folwark do pani Wilskiej. Znalazłszy ją w swej stancyi przebierającą wiśnie do smażenia, usiadła smutnie na krzesełku zamyślona głęboko.

(C. d. n.)

OBRAZY Z DZIEJÓW SZWAJCARSKICH.

(Podług Dumasa).

(Ciąg dalszy).

Czarne chmur smugi zaciemniały brzask dnia, to go znowu rozogniały błyskawicami, trwożącemi wszystkie żyjątka. Obłoki rozesłały się aż nad dolinami, a przesuwając się górami, takiem zimnem przejęły naszych pątników, że pot na czołach ich ledwie się w szron niezamienił. — Nastała chwilka ponurej ciszy, bardziej jeszcze od burzy przerażającej, bo takiej, w której natura zdaje się skupiać wszystkie swoje siły, by wnet tem gwałtowniej wybuchła. O podal zagrał ogar.

— To Napft — rzekł Konrad, i gwizdnął na niego.

— Musiał się urwać z łańcucha — znowu przemówił góral — stój cichutko Róziu. Wytężył słuch. Granie ogara znowu się dało słyszeć. — Tak, tak, to nasze psisko, tropi zwierzynę; ale powiedz mi Róziu jaką?— zapytał Konrad głosem bolesnym, w którym i szyderstwo było, boć niebezpieczeństwo od dzielnego męża dopomina się szyderstwa.

— Co nam pytać, jaką zwierznę Napft tropi? — spieszmy.

— Oj pytać nam, rzecze mąż, tu idzie o nasze życie; ścigają nas, to oni Napfta wyprawili na polowanie, on zwolna się odzywa... trzymają go na smyczy... gdyby pies był wolny, jużby tutaj był dawno. — I znowu się ozwał pies. . lecz nie bliżej... owszem dalej głos słychać było.— Rózia rośmiała się z radością.

— Traci nasz ślad, głos jego przycicha:

— Oj nie traci Napft śladu, ma on doskonały wiatr. Lecz ledwie Konrad wyrzekł te słowa, straszny piorun uderzył; ogara chwilę nie było słychać, lecz gdy echa grzmotu przebrzmiały, głos gończego bliżej się ozwał.— Rózia zawołała:

— Uciekajmy, uciekajmy ku grocie!

— To nam już nie pomoże,— zauważył mąż—nam najdalej w dwóch godzinach być po drugiej stronie jeziora, inaczej po nas. — To rzekłszy silnie pociągnął za sobą towarzyszkę życia.

— Dokąd idziesz? wszak nie tędy do jeziora.

— Chodź, musim ich omylić. Nie starczy czasu dostawać się do jeziora. — Rózia skupia wszystkie siły i dąży za Konradem; wnet stanęli nad przepaścią niezmierną, nie przebytą. Konrad jęknął w rozpaczy. Rózia myśli że już zgubieni, pada na kolana, składa ręce do modlitwy, Konrad mówi:

— Dzięki, dzięki Bogu! on nas nie opuszcza! Nabierz odwagi. — To rzekłszy, bieży ku jodle, z dołu wypalonej, uderza w nią toporem, raz po raz, z wysileniem i pośpiechem nie zwykłym.

— O Konradzie! mój, mój Konradzie! jakżeś dzielny, drzewo trzęsie się całe; silna twoja ręka!— Wołała

Rózia i dalej: O, o! pada! pada! dobrze upadło, mamy kładkę! kobieta poskoczyła na nią i wołała: Chodź, chodź Konradzie za mną! — Lecz Konrad rzucił się na drzewo zamknął oczy i trzymał kładkę wszystkiemi siłami, żeby nie zachwiała się pod lekką stopą najdroższej mu istoty. Napłta już wcale nie zdaleka słychać było. Konrad podniósł głowę, spojźrał i... o szczęście! Rózia była już po drugiej stronie przepaści i uśmiechała się. Poskoczył i Konrad na chwiejny most i przeszedł go tak śmiałym i pewnym krokiem, jak gdyby sobie szedł bitym gościńcem. Stanąwszy przy Rózi, zaraz obrócił się do kładki i pchnął ją w przepaść. Kobieta zobaczywszy natarczywość spadającego drzewa, blednie i odwraca oczy, Konrad podniósł głos radości, jak lew, lub orzeł tryumfujący.

Prędko upamiętali się małżonkowie w uniesieniu radości i nie tracąc czasu przeciskali się dalej najciemniejszą gęstwiną. Za kilka chwilek spieszne za ogarem zbiry stanęły nad przepaścią. Węże błyskawic wiły się po czarnych chmurach, grzmoty się powtarzały, deszcz lunął jak z cebra, zdało się, że przerwała się chmura.

Małżonkowie nie wiele jeszcze uszli, gdy Rózia, zwieszając główkę, opuszczając rączęta, uginając z utrudzenia kolana, przyciszonym mówiła głosem:

— O mój Konradzie! umykaj sam, ja już iść nie mogę, zawadzać ci będę; ratuj siebie samego mój miły, najdroższy!

Konrad rozglądał się jak mógł, chciał wiedzieć gdzie się znajdują? — lecz trudna to była sprawa wśród gwałtowności burzy i ciemności mroków i chmur. Konrad szuka ratunku w niebie, wznosi do góry oczy, w nich zamigotało kilka błyskawic, jedna po drugiej. Którędy się puścić dalej? trudny namysł, wypadało się udać pochyłością, ale jakże, kiedy nadzwyczaj przykra jak daleko widać, a jakaż dalej nie będzie?! I Konrad traci odwagę, jak szermierz w połowie zwycięztwa śmiertelnie ugodzony. W tem daje się słyszeć silny, przewlekły, dziwny szum ciągniony od szczytu Rostoku, góra zachwiała się po trzykroć jak pijany, gorąca mgła rozpostarła się po nad wrzącą wodą.

— Trąba powietrzna, trąba! — zawołał Konrad, uchwycił Rózię i skrył się z nią w wydrążeniu skały. Straszliwy, okropny zawył wicher — wierzchołki drzew kłoniły się jak kłosy pszenicy lub żyta, a cały las tuż, tuż, że się nie położył na ziemię, jak łan zboża. Wicher uprzątając wszystkie zawady pomknął się ku Baunowi, porwał całe domostwo i zatopił je w jeziorze, w którem napotkaną roztrzaskał łudkę, rozdmuchał ją na wszystkie strony i na ostatek roztrąciła się sama o skały Axenbergu, pozostawiwszy za sobą pas zniszczony, nagi, pusty, niby świeżo opuszczone łożysko rzeki.

— Patrzaj Róziu, rzekł Konrad, co za rozdół zrobiła burza. Ręka to Boża przygotowała go nam, nim zdążym do jeziora.

(C. d. n.)

TEATR.

Towarzystwo artystów lwowskich przedstawiło w d. 9 sierpnia: *Pani Kasztelanowa* Korzeniowskiego i operę *Folwark Primeroze*; między któremi to sztuczkami odtańczyła panna Hubertowna krakowiaka. Dyrekcya przeznaczyła z tego przedstawienia dochód na fundusz budowy kościoła św. Wojciecha. W d. 10 b. m. przedstawiono komedyę w 4 aktach Korzeniowskiego p. t. *Stary Mąż*; w której to komedyi pierwszy raz wystąpił p. Linkowski, — znany już tutejszej Publiczności ze swego talentu; w roli sędziego, który odegrał doskonale. Dnia 12 b. m. przedstawiono dramat w 4 aktach Stanisława Dr. Pilata p. t. *Zofia Morsztynowna*, na dochód p. Hubertowej (Rudzyńskiej). Pomimo usilności artystów, dramat nie udał się dobrze. Dnia 14 b. m. grano komedyę w 1 akcie *Przyjaciołki* Korzeniowskiego, komedyę *Niewolnik Małżonka* z francuskiego, w 1 akcie i operetkę komiczną także z francuskiego i w 1 akcie: *Wesele przy latarniach, czyli wielki skarb.*

Niepotrzebne naśladownicze współubieganie się. Wedle doniesienia Gwiazdki Cieszyńskiej, powzięto we Lwowie także myśl wydania pisma zbiorowego, na uczczenie tysiącletniej rocznicy zaprowadzenia chrześciaństwa w Słowiańszczyznie. i wstąpienia Piasta na tron Polski. Nie pojmujemy dla czego każda prowincya ma robić swoim dworem? dla czego wszystkie nie mają skupić sił wszystkich dla dopięcia jednego i tego samego wielkiego celu? Naśladownictwo nie pożyteczne dla ogółu, a więc nie potrzebne, nie jest wcale żadną emulacyą, ale dowodzi braku samodzielności równie jak i zazdrości lub zawiści.

Pomnik. W Dąbrowie Ludomskiej, wiosce o parę mil od Poznania odległej, dziedzic tejże wzniósł obelisk zmarłemu tamże 1847 r. wielkich około kraju zasług Dr. Marcinkowskiemu, a to na temże samem miejscu, na którem stał dom, gdzie wspomniony szlachetny nasz rodak Bogu wzniosłego swego ducha oddał.

Nędznicy, romans Wiktora *Hugo-na* nie znalazł tego przyjęcia w Niemczech co we Francyi, gdzie go nazwano *romans du siecle* (romansem wieku)

Upiększenie Paryża. *Monitor* donosi, że na bulwarze *du temple* sześć gmachów teatralnych zniosą.

Odezwa do słowiańskich uczonych. Redaktor pisma Wschód i Zachód (Ost und West), Tkalec wzywa słowiańskich uczonych do wędrownych zgromadzeń, z powodu tysiącznej rocznicy pamiątkowej słowiańskich apostołów Cyryla i Metodego.

Osobliwszy patryarchalny stosunek. Gazeta Polska ma warszawskie księgarskie stosunki z polskiemi prowincyami za patryarchalne, w takim stanie zaniedbania, że łatwiej mieć w Warszawie książki z Ameryki, niż ze Lwowa i Poznania, i na odwrót we Lwowie i Poznaniu z Warszawy. Jeżeli zaniedbanie, a raczej jeżeli niedbalstwo jest cechą patryarchalności, tedy niestety należymy niezawodnie do narodów niedbalstwem najbardziej odznaczających się.

Amerykańska Recepta na kukurydzany Placek. Weź kwartę kukurydzanej mąki, kwartę maślanki, łyżeczkę od kawy sody, dwa jaja, wymieszaj, zamieś, wyrób placek i piecz go 30 minut; będzie lekki, bardzo biały, dobrze wypieczony.

Korona Angielska.

Dla królowej Wiktoryi zrobili koronę pp. Rundel i Bridge w Londynie. Waży ona 3 funty 3¾ uncyi (Troy). Jest w niej 3075 klejnotów, między któremi 2783 dyamentów, 277 pereł, 17 szafirów, 11 szmaragdów i 5 rubinów. Wartość tych klejnotów ma wynosić kilka milionów dolarów, oczywiście, że wartość ich rzeczywista nie dorównywa wartości 3ch funtów żelaza.

Przyjacielska Rada. Dziennik literacki lwowski radzi redaktorowi czy redaktotom Osy powrót do gramatyki tak w interesie własnym, jak ku pociesze swoim rodzicom. Czyni też Dziennik uwagę, że pisanie paszkwilów także się nie obchodzi bez nieprzyjemności. My dodajemy, że kto skutecznie do gramatyki zachęcać będzie, dostąpi wiele a wiele dni odpustu, boć bardzo nauka gramatyki potrzebna ludziom, którzy imion własnych jak n. p. Kościuszko, Fredro odmieniać nie umieją, ani też wiedzą, jak nazwać Żonę Wojny, lub jego córkę? itp. itd. itd.

Wiadomość Literacka. Deotyma (panna Łuszczewska) napisała pocmat pod tytułem *Kordecki*, a to trojwierszem (terzetti) uroczystego wdzięku podług doniesienia warszawskiego.

Nowy teatr w Wiedniu. Stolica ta ma przyjść do teatru tak urządzonego, że w ¼ godziny dwanaście razy scenę będzie można zmieniać.

Prawda.

Prawda się pewnie przyjmie, zaręczyć ci mogę,
Lecz, chcesz ją opowiadać, wybierz się z nią w drogę.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.